



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60 kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

Ekspedycya główna w księgarni wydawcy
Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nowy 7).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartal. flor. 3, na prowiny z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.

W Krakowie: u D.E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowiny z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.

W W. Rs. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

WYKSZTAŁCENIE KOBIETY we Włoszech.

(L'instruction publique en Italie, par C. Hippeau.—Mädchenerziehung und Schulwesen in Italien, v. Magdalena Gonzenbach).

(Dokończenie).

Podobnie jak w postępie naukowym, tak w praktyce już nauczycielskiej kobieta włoska okazuje nad mężczyzną wyższość. Słodsze obejście i tkliwsze pojęcie natury dziecka, które wszędzie w szkole elementarnej daje kobiecie nauczycielce przewagę nad nauczycielem, tam, przy żywości natur południowych, wybitniej jeszcze występuje. Prócz tego, po przełamaniu pierwszych lodów, kobieta we Włoszech garnie się bardzo gorąco do zawodu nauczycielskiego, i przepowiedzieć już dziś można, że podobnie jak w Ameryce, liczba nauczycielek przewyższy wkrótce liczbę nauczycieli elementarnych. Wtedy bez żadnej już potrzeby ustawodawczego nacisku, i jedynie samą siłą rzeczy, kobiecom ręką zostanie oddane pierwsze wykształcenie dziecka, a świat ujrzy przed sobą powtórzenie faktu, jak natura człowieka stoi uparcie przy prawach swoich, i choćby zakreślając koło najszersze, odnajduje sobie ostatecznie kierunek wytknięty przez właściwe przeznaczenie swoje. Kobieta może i potrzebuje uczyć się wszystkiego, czego nauczyć się jest zdolna; kobieta może i potrzebuje pracować niezawisłe, ilekroć wymaga tego czy konieczność ekonomiczna, czy szczególne ducha jej usposobienie, wyższe zdolności, które odpowiedniego sobie kręgu czynności żądają; ale zawsze wrodzoną skłonnością kobiety będzie praca, najbardziej zbliżona do działalności rodzinnej. Amerykanka, tak swobodna w społeczeń-

stwie swoim, że aż może—co jest naturalnym choć nie bezkarnym cieniem wolności—swobody nadużyć, przetwarzając ją w swawolę, jakież przecie najważniejsze stanowisko społeczne zajęła w narodzie swoim? Do dziś dnia kobieta amerykańska służy głównie społeczeństwu jako nauczycielka i wszyscy podróżnicy zgadzają się jednomyślnie, że na tem polu działania rozwija najpożądanejsze zdolności pedagogiczne. To samo zaczyna zaznaczać się we Włoszech; to samo spostrzega zarząd szkolny w Anglii i rozważają tam właśnie nad tym samym przedmiotem, który był celem wniosku Lucca:—Czy nie należałoby oddać w zupełności kobiecie nauki elementarnej?

Istnieje obecnie w królestwie Włoskiem 104 szkół kształcących do stanu nauczycielskiego; z tych jest 49 szkół normalnych, 55 magistralnych. Podział zaś na płcie jest taki: 23 szkół normalnych dla nauczycieli; 26 dla nauczycielek; 17 szkół magistralnych dla nauczycieli; 38 dla nauczycielek. Ze stosunku tego nie trzeba przecieź wnosić, że na kandydatów do stanu nauczycielskiego przedstawia się więcej kobiet niż mężczyzn, bo jakkolwiek stosunkowo do początkowego ruchu, liczba uczennic do Scuole normali i Scuole magistrali jest znaczna—w 1873 r. przedstawiło się uczennic 700 — zawsze przeciętne liczba zgłaszających się uczni jest wiele większa—w 1873 r. było ich 1,600. Tylko postęp w szkołach kobiecych okazał się o tyle większym, uczennice o tyle lepiej od uczni przechodziły przez egzamin ostateczny, że musiano dla pożytku oświecenia publicznego uprzywilejować rozwój szkół żeńskich. Fakt powyższy zbija twierdzenie bardzo rozpowszechnione, że przewaga otrzymywana przez kobietę w zakresie nauczania stopnia pierwszego, wynika z braku mężczyzn, chcących poświęcić się temu zawodowi, mężczyzna bowiem ma przed sobą wiele drug zarobkowania korzystniejszego, zamkniętych dla kobiety. Byłoby to mogło, ale jak widzimy na przykładzie Włoch, nie jest: nie ilość, ale jakość daje kobiecie pierwszeństwo w rozszerza-

jącym się kręgu jej działalności nauczycielskiej—kobieta jest lepszą od mężczyzny nauczycielką dziecka.

Naturalnem więc ciężeniem rzeczy publiczne nauczanie elementarne zaczyna się gruntować na zasadach takiego podziału pracy wychowawczej, jaki ma miejsce w rodzinie. Dziecko—syn czy córka—należy w pierwszej epoce życia wyłącznie do matki, chowa się przy jej sercu, w dobroczynnym cieple jej tulącego objęcia. Matka zatem kształtuje pierwsza charakter i w ogóle daje podstawy do tego edukacyjnego działania, którego zadaniem jest doskonalsze wyrabianie się istoty ludzkiej. Czy wpływ matki nie powinien się przedłużać, czy działając na pewne strony umysłu i serca nie powinien współpracować z ojcem i szkołą przez cały ciąg kształcenia się młodzieńca? jest kwestyą inną, dla której nie ma tu miejsca obecnie. Zaznaczam jedynie fakt, że w pedagogicznym postępie naszego wieku, dziecko zostaje przez szkołę publiczną tak zwróconem kobiecie, jak posiadała je w społeczeństwie pierwotnem, przed istnieniem szkoły owej.

Ponieważ z postępem czasu królestwo Włoskie zamierza podnieść wyżej poziom oświaty ludowej, w szkołach tak męskich jak żeńskich, jest tam staraniem obecnej chwili, aby i wykształcenie nauczycielskie podniosło się również. Szkoły normalne usiłują rozszerzać programy naukowe, a Florencia, którą Hippeau wymienia jako najgorliwszą z miast włoskich w popieraniu wykształcenia ludowego, przoduje w rozumnych zabiegach podnoszenia szkół nauczycielek. W roku zeszłym wprowadzono tam wykłady dodatkowe, mające uzupełniać pierwotny plan nauk w szkołach normalnych dla kobiet. Historia i literatura zajmą obecnie miejsce szersze; dołączono zarazem historią pedagogiki, która wykładana na podstawie dziejów cywilizacji świata, wykazać może przyszłemu nauczycielkom, czem jest dla ludzkości światło?

Magdalena Gonzenbach, pisząc o kształtowaniu się we Włoszech elementarnego nauczania kobiety,

zwraca uwagę na ważny jego szczegół. Wa Włoszech, podobnie jak we Francji, kobieta mężatka nie ulega wyłączeniu, jakie ma miejsce w Niemczech, gdzie tylko niezamężna może być nauczycielką. Zdaniem niemieckiej autorki, jest to wyłączenie niesłuszne, a razem nieracjonalne, gdyż przeciwnie kobieta która sama jest, lub była matką, ma rozbudzoną w sobie tkliwość dla dziecka, ma wyższe doświadczenie wychowawcze, którego posiadać nie może kobieta inna. Jest w tem niewątpliwie dużo prawdy, czy przeciw rzecz drugostronnie zbadana być nie powinna? Prócz tego, że jest może słusznoscią, aby społeczeństwo, które przez swój układ anormalny zostawia w wieku naszym tak wielką liczbę kobiet samotnych, dawało tem samotnym, z bolesną próżnią w sercu, pewne wynagrodzenie pod postacią macierzyństwa moralnego, istnieje jeszcze względ jeden, przemawiający za przyjęciem przez Niemcy układem. Państwo powinno i musi nawet działać w interesie rodziny, na której opiera się zawsze naród; zatem w bezpośrednio wywieranej czynności obowiązane jest baczyć, aby kobieta małżonka, kobieta matka, była jak najmniej odrywana od ogniska domowego, aby jej praca była o ile można pracą w rodzinie. Gdy tak nie jest, praca owa staje się natychmiast bolesną anomalią, krzywdą wyrządzoną rodzinie, naruszeniem jej praw, zwichnięciem szczęścia i moralności tak jednostek, jak całego kręgu społeczeństwa, w którym działa. Do pracy pozadomowej mężatki zwraca się w zupełności gniewny wykrzyk francuzkiego historyka: „Pracownica! wyraz bezbożny, wyraz przeklęty!” i Michelet w uniesieniu oburzenia swego widział niewątpliwie w chwili kreślenia tych wyrazów dziecko opuszczone, dom zaniedbany, męża nie znajdującego w tym domu słodkich pociech rodzinnego pożycia, które są cementem związku małżeńskiego. Matka, nauczycielka obcego dziecięcia, gdy jej własne zostawiały musiały w niestrzeżonej przez nią kolebce, stałyby w pokrewieństwie moralnym z mamką, cudze niemowlę kosztem własnego karmiącą. Wyłączenie, na jakie uskarża się Niemka, może w pewnych wyjątkowych wypadkach dotyczyć boleśnie niektóre jednostki, ma przeciw za sobą wielką zasadę moralną, przed którą względy osobistego dobrobytu, osobistego szczęścia muszą skłonić czoło w milczeniu. Z ekonomicznego nawet względu praca kobiety samotnej budzić musi zajęcie wyższe.

Mill, dla którego idea wolności bezwzględnej była ideałem praw człowieka, i który ztąd tak walczył o niezawisłość stanowisko kobiety wśród społeczeństwa, Mill nawet warunkuje tę niezawisłość rodzinnymi obowiązkami matki i żony. Są one w stosunku do społeczeństwa tak samo ważnymi funkcjami, jak na przykład męskie zawody polityczne. Kobieta swobodna może być czem chce i zdoła, ale zamężna musi być tem tylko, na co jej przyjęte przez małżeństwo obowiązki pozwolą, bo nikt bez niemoralności i szkody czyjejś nie może zaciągać dwóch, wzajem wyłączających się zobowiązań.

Na podstawie tak pojętej moralności publicznej, kobieta mężatka nie ma prawa stawać do konkursu pracy pozadomowej i państwo, jako zbiorowy wyraz moralnych praw pewnej społeczności—narodu—może ją od tego konkursu wyłączyć. Takie pojęcie rzeczy względnie do praw kobiety, wyrabia się coraz więcej w opinii ogółu, jak się to widzieć daje w rozwoju kwestyi głosowania kobiecego w Anglii. Coraz mniej głosów odważa się dowodzić, że kobieta powinna być usunięta od tych najwyższych praw obywatelskich, ze względu nieudolności umysłowej, ale coraz więcej tychże głosów woła o to, że rodzina nie może być rozerwana w jedność swojej, rozstrojoną, w harmonii wewnętrznej, zatem mężatka głosować nie powinna. Nie jest to także wyłączeniem dowolnem; małżeństwo w zasadzie powinno być najwyższą zgodą i zespoleniem się dwóch osobistości, społeczeństwo więc tak je pojmując, widzi w obywatelu małżonku istotę zbiorową, przedstawiającą razem i żonę. Stawa on przy urnie wyborczej jako pełnomocnik kobiety zaślubionej sobie, i głos jego jest zlianiem się dwóch głosów. Nie może ich być bez akordu takiego dwa w rodzinie, a jeżeli ktoś zauważy, że przeciw bywa niejednokrotnie, odpowiem na to, że wtedy małżeństwo, względnie do swej zasady jest niemoralnem, a żadne prawo nie uświęca rzeczy niemoralnej.

Trzeba przypuszczać że szersze objęcie przez ko-

biety posady nauczycielskiej, musi w niedługiej przyszłości wywołać we Włoszech poruszenie tej kwestyi. Jeden z ministrów oświec. publicz. we Włoszech, Sciolaja, chcący ugruntować wychowanie narodowe na zasadach szeroko pojętego liberalizmu, zażądał między innemi od parlamentu włoskiego, aby dał prawo głosu nauczycielom ludowym, należącym przeciw do szeregu inteligencji krajowej. Prawo Sciolaja, prowadzące zarazem w pozycjach innych do wydatków, których budżet włoski pokryć nie był w stanie, upadło, a wraz z nim i głosowanie nauczycieli. Gdy jednak, prędzej czy później, sprawa ta znów wytoczoną będzie i przypuszczalnie przejdzie przez parlament, który dla wielu innych względów politycznych musi rozszerzyć prawo wyborcze, obecnie bardzo ściśnione, jak wtedy stanie kwestya wyborczości kobiety nauczycielki—nauczycielki mężatki? Życie w najrozmaitszych swych obrotach łączy się z sobą tysiącem na pierwszy rzut oka niewidzialnych nitkami; aby nie było zamętu, sprzeczności i rozstroju, trzeba aby każda idea jasno i dobitnie nam się przedstawiała. Nie można nie zostawić nieprzemyślanem, połowicznie załatwionem, leniwie na dalszy bieg czasu zdanem, bo oto trudność zaskoczy cię nagle z tej strony, gdzie jej zobaczysz weale się nie spodziewałeś i gdzie musisz stanowczo się z nią rozprawić.

W szkołach normalnych dla dziewcząt zaczął się zaznaczać na bardzo szerokiej przestrzeni Włoch wymowny fakt jeden. Młode panny domów o tyle zamożnych, że nigdy zapewne nie będą potrzebowały zarobkować na chleb, jako nauczycielki, zaczęły wchodzić do szkół normalnych z czystego zamiłowania nauki, której trudno im było znaleźć gdzie indziej. Ministrowie wychowania publicznego zwróciwszy na to uwagę, podawali z kolei rzecz do wiadomości rad gminnych i prowincjonalnych, wykazując, że pragnienie nauki rozbudzone w kobiecie włoskiej, nakazuje narodowi nowy obowiązek—obowiązek zaspokojenia tej chęci szlachetnej, która jest porywem rozbudzającego się na nowo geniuszu włoskiego. Brakuje Włochom średnich szkół dla dziewcząt, brakuje im szkół rzemieślniczych i fachowych, ale niemniej przecież myślą tam i o zakładach wyższych, gdzie młoda panna, która już odebrała gruntowne i dobrze obmyślane wykształcenie elementarne, mogłaby znaleźć naukę stopnia trzeciego. Pod tym względem przeciw zrobiono już początek: w 1861 r. gmina Mediolanu założyła wzorowo urządzone kolegium dla dziewcząt „Scuola civica superiore“ co stało się dobrym przykładem dla Turynu, a następnie Florencyi i kilku jeszcze miast innych. Prędkie zapełnienie tych wszystkich szkół dowiodło ich potrzeby; pensye prywatne naśladują je tak w programie, jak w metodzie nauczania, i obecnie kobieta włoska ma już dobre zakłady naukowe, nie niższe od zagranicznych, szwajcarskich na przykład, od których zapożyczano się wiele, wzorując się szczególnie na Genewską wyższą szkołę dla dziewcząt, utrzymywaną również przez gminę miasta. Tylko że szkół wspomnianych mają Włochy za mało jeszcze, i minister Bargogni wzywał gminy miast w cykularzu z 9 lipca 1870 roku do zakładania dla dziewcząt szkół trzeciego stopnia, mieszcząc w ich programie: naukę języka i literatury włoskiej; historii i geografii powszechnej; historii i geografii Włoch; arytmetyki, geometrii; buchalterii; ekonomii domowej; higieny; nauk fizycznych i przyrodniczych. Plan ten uzupełniała nauka języków obcych, szczególnie francuzkiego i szeroko zakreslony wykład etyki w stosunku do praktyki życia religijnego, oraz rodziny i społeczeństwa; wreszcie rysunki i kaligrafia, muzyka, śpiew chórny, gimnastyka i ręczne roboty kobiece, jak szycie i krawieczyna.

Włochy uczuwają rzeczywiście potrzebę wypełnienia tego ministeryalnego programu, ale z jednej strony gminy miast są bardzo ubogie, z drugiej leniwy zastój, smutna pozostałość przeszłości, trzyma dotąd rzecz w biernym stanie zyczeń. Przecież liczyć można, że pragnienia, wzmagające się coraz, do czynnej działalności poruszają, najważniejszy bowiem krok na drodze postępu zrobionym już został: kobieta włoska uczuła chęć i potrzebę nauki, garnie się do światła i szuka go gdzie może. A Włochy mają wyższe niż jakibądź inny uaród tradycje znakomitych kobiet; mają w przeszłości swojej obrazy kobiety udostojnionej przez wiedzę i sztukę, wieńczonej na Kapitolu. Z każdym niemal nazwiskiem genialnego

męża łączy się tam nazwisko genialnej kobiety; i we Włoszech więcej niż gdzie indziej kobieta umiała być muzą, natchnieniem, tą żywą poezią, która uduchowiając piękność ziemską, czyni z niej ideał piękności niebiańskiej. Nazwiska Leonory d'Este, Lukrecyi Donati, Wiktoryi Colonna mogą błyszczyć jako gwiazdy świetne przed oczyma kobiety włoskiej i ukazywać na jej horyzoncie obrazy wspaniałe, wśród których szlachetna kobieta jest dla szlachetnego mężczyzny gorącą iskrą zapалу, duchem przewodnim, wiodącym Danta ku coraz wyższym stopniom krainy światła, dobra i nieśmiertelnego piękna. Kobieta włoska była niegdyś potęgą wielostronnie działającą; dwory włoskie stawały się przez jej inteligencję i artystyczne zamiłowania szkołą wyższą uobyczajania narodu, szkołą poetów i sztukmistrzów, i ztamtąd to rozchodziły się po kraju te ciepłe promienie światła, pod którymi wyrabiały się duchy, podnosiły serca i umysły. Francuzkie salony utworzyły się ze wzorów włoskich; włoska donna jest po rozbiciu starożytnego świata pierwszym idealnym działaniem kobiety na mężczyznę w pokojowej, umysłowej sferze. Jest to wielka puszczina: dzisiejsza Włoszka jest magnatką w dziedzinie tradycji, ma najstarsze i aż do upadku swej ojezycznej nieprzerwanie ciągnące się rodowody duchowej godności. Lukrecye, Kornelie, Arrie, Priscey i Fabiole, tworzą szereg, który styka się z kobietą w todze akademickiej, z Korynną w wieńcu laurowym. Wielka kobieta włoska umarła razem z wielkością Włoch. Zdaje się że pracuje teraz na to odrodzenie swoje—szuka sobie światła i zbiera jego promyki.

M. Ilnicka.

ZA MOICH MŁODYCH LAT.

Za moich młodych lat
Piękniejszym był świat,
Jaśniejszym wiosny dzień!
Dziś niema takiej wiosny,
Posepny i żalony,
Pokrywa ziemię cień.

Za moich młodych lat,
Wonny miłości kwiat
Perłowym blaskiem lśnił—
Dziś blaski te i wonie
Naprawdę sercem gonię...
Czarny je obłok skrył.

El-y.

NIEWIASTA POLSKA W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA (1800—1830 ROKU)

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg).

Przyjęcie. — Tadeusz Sędzimir. — Myśli i marzenia młodej Klary. Zaręczyny i wesele. — Paweł Chromiński. — Pożegnanie. — List. Rozmowa z hr. Adamem. — Pod cieniem lipy. — Zjawisko. — Na bożeństwo majowe. — Hrabina Klara i pan-Paweł.

Do wystawnego obiadu zasiedli także proboszcz miejscowy i stary przyjaciel domu, rzadca dóbr całych hrabiowskich, pan Paweł Chromiński, nikt bowiem z obcych nie był proszony.

Po uczcie poprosił hrabia gości swoich, ażeby obejrzeli jego zbiory. Klara z matką zachwycone były obrazami słynnych malarzy, pułkownik chwalił rzeźby, ale unosił się najwięcej nad pyszną zbrojownią, pełną drogocennych i ciekawych zabytków. Wieczera odbyła się w ogrodzie illuminowanym.

Noc letnia była ciepłą i pogodną, przechadzano się po obszernym ogrodzie.

Hrabia korzystając z dobrej sposobności, podał rękę Klarze i oświadczył gorące swoje uczucia. — Dziewczę oczarowane wspaniałym pałacem, arcydziełami sztuki, zbytkiem przyjęcia i olśniewającą okazałością — rozmarzone melodyą muzyki, którą echa po rosie wieczornej tak przyjemnie odbijały, w pomieszczeniu odrzekło, że usłucha woli ojca. Zgubne słowo! przyszłość jej już była rozstrzygnięta!

Pułkownik z najżywszą radością przyjął oświadczenie hrabiego, który nie zwlekając, gdy proboszcz był obecny, prosił, ażeby zarazem można odbyć i zareczyny. Z gorączkowym pośpiechem spełnił się obrzęd: ojciec promieniał radością, Klara stała dziwnie wzruszona i pomieszana, a zagna jej matka z bolesnym westchnieniem błogosławiła, gdy hrabia Adam ze swą narzeczoną przed nią ukleknął.

Po północy opuszczono pałac Jazdowski.

Nazajutrz w Jabłonce ojciec z nietajomem uczuciem szczęścia wśliznął swojej córce tak pomyślnego losu, bo hrabia Adam oprócz bogatych darów, złożył na jego ręce zapis półmilionu dla przyszłej swojej małżonki. Ślub naznaczono pierwszych dni września w Warszawie. Jakoż wspaniałe weselne gody odbyły się w tem mieście wśród liczego grona arystokracji krajowej. Państwo młodzi zamieszkali wspaniałym apartamentem na *Senatorskiej ulicy*, z którego na wiosnę i całe lato zjechali teraz do Jazdowa.

Tak było przed sześciu laty!

Spokój i cisza zapanowały w gwarnym niedawno dworze pułkownikowstwa; cisza i smutek zasiadły w Sosnowie na skromnych progach Tadeusza.

Paweł Chromiński był od lat czterdziestu przeszło wiernym sługą i przyjacielem rodziny hrabiego Adama.

Jego samego wypiastrzał na swem ręku, a rządził majątkiem rozumnie i uczciwie. — Od wejścia w obowiązki jako rządcą i plenipotent ojca dzisiejszego dziedzica, hrabiego Konrada, zamieszkiwał skromny dworek drewniany stojący w końcu ogrodu w Jazdowie.

Miał swoje chwile tęsknoty i smutku, wtedy zawdzięczał torbę borsuczą, opasywał biodra szerokim obosiecznym kordelasem, a zarzucał na plecy doświadczoną dubeltówkę, szedł w niedalekie, gęste i zapadłe knieje, ażeby się pozbyć jak mawiał: *duższej tęsknoty*.

Zmęczony po zajęciach i pracy gospodarskiej, wyszedł rano do puszczy i odpoczywał na wyniosłym pagórku pod rozłożystym dębem, gdy ujrzał zdala młodego myśliwca podążającego w tę stronę. Sokolim wzrokiem poznał Tadeusza Sędzimira. Zapalił więc krótką fajeczkę, usiadł na pnui i przyglądał się idącemu młodzieńcowi. Ale ten, w głębokiej pogrążony zadumie, szedł z opuszczoną na piersiach głową i nie widział nic w około siebie. Dopiero na kilka kroków spostrzegł siedzącego Chromińskiego.

Na ten widok, oblicze jego zasepione odrazu rozjaśniało, a smutek uleciał. Z serdecznym uczuciem wyciągnął doń rękę i przemówił:

— A to kochany pan Paweł! jakże rad jestem, że cię spotkał.

— I ja niemiennie, odrzekł Chromiński ściskając dłoń podaną, ale cóżes mój chłopce robił w tych stronach? Słyszałem dwa wystrzały, zapewne alboś spudłował, albo tak sobie dla rozrywki dał ognia....

Tadeusz nie mógł ukryć głębokiego wzruszenia, żywy rumieniec oblał mu oblicze, rzucił się w objęcia starego przyjaciela z bolesnym westchnieniem.

— Mój Tadeuszu, po chwili odezwał się pan Paweł, nie mów mi nie; ja znam twoją tajemnicę i uszanuję...

— Chciałem cię widzieć raz może ostatni, zanim te rodzinne kąty opuszczę i odbiję się daleko. I miałem cię prosić jako przyjaciela moich rodziców, ażebyś wziął w opiekę moją wioszczyne.

Nie mogę jej sprzedać, bom się w niej urodził; w tym dworku dobry ojciec i matka moja, święta niewiasta, pomarli; nie chcę puszczać w dzierżawę bo bym zastał pustki i spory sądowe — dla tego szukałem cię w Jazdowie.

— Dobrze robisz, mój chłopce, chętnie się podejmę tej opieki. A stary ekonom Gawdzicki jest u ciebie?

— Jest, zdrów i czerstwy.

— No to dobrze, pocciwy sługa, przy nim łatwiej mi pójdzie wszystko. Bóg, mój Tadeuszu, zsyła

różne krzyżyki na człowieka. Wiem co to boleść serca i umiem być wyrozumiałym. A teraz bywaj mi zdrów, bo mnie coraz większa ciśnie *dużna tęsknota*: muszę odetchnąć w mojej puszczy i nabrać nowych sił do życia!

Powstał z pniaka i wtedy dojrzałeś wydatną i silną postać pana Pawła. Wyniosłego wzrostu, szerokich ramion, składny był w całej postawie. Oblicze czerstwe, żywym rumieńcem okraszone, zdobił was gesty i sumiasty, na którym nie pokazał się ani jeden włos siwy, a liczył Paweł rok 69 życia. Kto jednakże nie znał go wcale i ujrzał raz pierwszy, nie liczył mu nawet pięćdziesięciu. W ruchach żywy i energiczny, szedł zwykle prędkim krokiem, trzymając się prosto jak smukła topola. Z pełnych ognia oczu jaśniało jeszcze młode uczucie i pełność życia. Pan Paweł zarzuciwszy strzelbę na plecy, rzekł głosem powierzchownie spokojnym, ale czuć w nim było głębsze wzruszenie.

— Teraz daj mi rękę na pożegnanie, podnieś głowę i posłuchaj starego przyjaciela. Miłość dla takich kobiet, jaką ja kochałem, a ty teraz kochasz, jest świętem uczuciem. Wierzę w nią, ale ona sama nie jest celem naszego życia. My nie możemy umierać dla niej, są inne, świętsze obowiązki, do nich niech cię cierpienie terazniejsze zahartuje.

Domawiając tych słów pochylił się i szeptał mu długo w ucho. Młodzieniec z pokorą słuchał szeptu starego przyjaciela. Poczem wyprostowawszy się, spokojniejszym dodał głosem:

— Idź teraz w świat, jeżeli ją szczerze kochasz, bądźcie twoim aniołem stróżem, jak dla mnie jest ta, którą pogrzebałem już dawno w ziemi....

Tadeusz przyklękawszy zawołał rzewnie:

— A więc w imię ojca i matki, daj mi rodzicielskie błogosławieństwo na dalszą pielgrzymkę życia.

Pan Paweł nie odrzekłszy słowa, położył znak krzyża świętego nad głową pochyłoną Sędzimira, pocałował, uściśnął i szybkim krokiem zwrócił się na ścieżkę między ugorami, która najbliższe wiodła do puszczy.

Ale zaledwie odetchnął całą piersią w jej cieniu i chłodzi, nadbiegł konny posłaniec i doręczył mu list. Paweł przeczytał go, i natychmiast dosiadł stępaka i ruszył żwawym kłusem na powrót do domu. Gdy wjeżdżał do Jazdowa, zegar pałacowy wybijał właśnie dziesiątą godzinę wieczorną. Zeskoczył z siodła i wbiegł na schody wiodące do sypialni hrabiego. Ten zdziwiony tak późnemi odwiedzinami, zapytał o powód przybycia.

Chromiński w milezeniu wydobyl list z dużej pieczęcią i położył na stole. Hrabia zaledwie spojrział i pismo rozpoznał, zbladł i pochylił głowę na piersi, drżącemi rękoma rozdarł kopertę i zaczął czytać. Pan Paweł wlepił w niego palące spojrzenie i nie spuszczał zeń oczu. Hrabia Adam starał się okazywać spokój, bo czuł to spojrzenie człowieka bez skazy, przyjaciela od lat dziecinnych i piastuna swego, którego matka polecała na łożu śmiercielnem aby go czcił i kochał. Ale usiłowanie to było daremne, oblicze miało coraz bledsze, pot kroplisty wystąpił na pomarszczone czoło.

— Cóż ja poradzę, głowy nie mam po temu. Weź ten klucz, panie Pawle, otwórz kufer i podaj mi kilka rulonów.

Chromiński nie pojmując celu, wykonał rozkaz; rozwijał jeden rulon po drugim i wysypywał na zielone sukno stołu dukaty, które błyszczały świeżością stempla. Gdy ułożył stos spory, spokojniejszym głosem przemówił:

— Mój Pawle! Jest tu okragło tysiąc *czątych* jedź do *Borowa* i ofiaruj jej w moim imieniu....

Chromiński na te słowa stał chwilę skamieniały, gdy się nieco oprzytomniał, uczucie oburzenia i wgardy wybiły mu rumieńcem na blade przed chwilą lica, wyprostował się, a podniosłszy dumnie głowę, rzekł z godnością:

— Panie hrabio! piastowałem cię na moich rękach, służyłem wiernie tak ojcu twemu jak i tobie. Wiesz pan hrabia com dla was zrobił, poświęciwszy życie moje na wasze usługi; nie spodziewałem się takiej propozycji. Złotem chcesz zapłacić za grzechy swoje... w takim razie raczysz posłać za niemi wiernego kamerdynera, ale nie mnie. Żegnaj cię, panie hrabio, oby Bóg nie dotknął cię za to straszną karą.

Te słowa wyrzekłszy, pokłonił się i wybiegł z sypialnej komnaty.

Pan Paweł w niesłychanym wzburzeniu, wielkimi krokami spadał raczej niż zstępował z szerokich schodów pałacowych. Szybko jakiś czas biegł, uciekał, jakby gmach się cały miał nań zawalić, wstrząśniony w swoich posadach. Ale gdy zawrócił się do ogrodu, woń wiosennej nocy, cichej a pogodnej, dobroczynnie na niego oddziaływała. Przystanawszy nieco, zwrócił się ku stronie pałacu i zobaczył okno hrabiny otwarte, a w niej stała jej postać smukła i wyniosła. Noc była widna, pod cieniem lipy ukryty, mógł ją widzieć dokładnie, zbadać nawet każdy ruch przybladłego nieco oblicza, bo jasne światło księżyca oblewało całe jej popiersie.

W tę zachwycającą postać wlepił swoje spojrzenie. Usta jej drgały jakby cichym szepceniem; nie była to modlitwa, bo odmawiała ją przy klęczniku, przed obrazem Boga-Rodzicy, była to więc spowiedź jej serca, która gwałtem z głębi jego wyrwała się, aby głosem wymówić myśli i uczucia. Potęga woli kępowała te usta, tamując przemocą rwące się słowa.

Po chwili takiej walki, skrzyżowała ręce na piersiach i wzniosła czarowne oczy na jasną tarczę księżyca. Chromiński ujrzał wtedy, jak przejryste krople łez spadały z tych oczu, jak widać sprawiały jej ulgę, bo oblicze przybierało więcej spokoju i życia.

— I ty! (mówił myślą do siebie) biedna ofiara przesady i głupoty świata, nie znalazłaś szczęścia w tym wspaniałym pałacu, wśród bogactw i przepychu pańskiego, cichą i ukrytą skargą żalisz się tylko Bogu, na ten wieńiec cierniowy, który twe niewinne skronie oplata! O! uciekaj z tych murów przeklętych, ptaszyno moja droga, bo jęczysz w nich jak w klatce uwięziona. Wiem co ci do szczęścia potrzeba, ale chyba śmierć ci w tem pomoże....

W tej chwili oboje posłyszeli głos puszczyka i oboje drgnęli jakby iskrą elektryczną uderzeni. Klara z przestrachem spojrzawszy w około, szybko okno zamknęła i zapuściła firanki. Chromiński smutny i przebolały wracał do swego dworku.

Usiadłszy w ganku długie godziny przedumał, pierwsze już kury zapiły, kiedy wszedł do swojej *alkowy*, ale sen go odbiegł, że zmęczenia tylko przyzmrużył oczy i zaczął drzemać.

Po chwili ujrzał wielką jasność i przez otwarte okno, na przejrzystej jak mgła letnia chmurze, jakby na promieniach księżyca, spłynęła postać tej, którą nazywał zawsze *swój święty*. Biała, powiewna szata otaczała całą jej składną kibić — uśmiech anielski opromieniał jej powabne oblicze, dawny ogień życia zajaśniał w oczach z początku matowych, gdy ręką drobną, która się w wonną lilie zmieniła, dotknęła jego czoła.

— Ty cierpisz mój przyjacielu! — mówiła doń słodkim, melodyjnym głosem — i mało ci serce z bólu nie pęknie. Szukasz rady, bo nie wiesz co dalej począć! A tam! na łożu śmierci leży biedna i opuszczona! Gdy słońko wybiję wysoko, a rosa poranna mgłą podłeci — idź do ogrodu, pod figurę Matki Boskiej, znajdziesz pomoc taką, jaką jabym ci na tej biednej ziemi dała. A teraz snem chociaż krótkim pokrzep zwątłone siły i módl się za mną!

I po tych słowach cudne widzenie rozplynęło się z powiewem lekkiego wiatru. Roztworzył oczy, już nie drzemał, widział swe dłonie wyciągnięte, jakby dla pochwycenia anielskiej postaci, ale po chwili bezwładność jakaś opanowała go, ręce opadły, oczy się przymknęły i jakby skamieniały leżał.

Długo spał widać, bo słońce wzbiwszy się wysoko, ciepłym go promieniem przebudziło. Zerwał się co żywo z posłania, a padłszy na kolana, długo i rzewnie się modlił.

Klara, swoim zwyczajem rano wychodziła do ogrodu, ażeby przed małą kapliczką z wizerunkiem Najświętszej Maryi Panny, odmówić *majowe* nabożeństwo, które rano i wieczorem codziennie odprawiała. W samotnem jej życiu, był to jedyny balsam pociechy na rozjątrzone rany serca.

Kapliczka ta, wystawiona przez matkę hrabiego, stała w uroczej ustroni ogrodu, okolona wieńcem modrzewi, smutnych jodeł, świerków i kilku brzoź płaczących. Przed wizerunkiem Boga-Rodzicy paliła się ciągle lampka dnem i nocą, a wieczorem zgromadzało się liczne grono domowników, służby i czeladzi, które chórem zawodziło pieśni pobożne. Jakkolwiek hrabina Klara towarzyszyła mu zawsze

i swój głos dzwiczny i harmonijny łączyła z ogólnym śpiewem, przenosiła jednak poranną chwilę, gdy tylko sama w tym cichym zakątku, modły swe rzewne a łzawe wzniesić mogła.

I dzisiaj klęczała na stopniach kapliczki, zasłanych świeżym kwieciami i polnemi ziołami, gdy zdala usłyszała szybko zbliżające się kroki. Strwożona odwróciła głowę.

Ujrzała Chromińskiego, który na jej widok przystanął chwilę, ale potem zbliżył się z rozpromienionym niezwykle obliczem.

Zdjawszy czapkę, pocałowaławszy podaną sobie z uprzejmością rękę, rzekł drżącym od wzruszenia głosem.

— Pani hrabino! Bóg cię tu zesłał dla mojej pomocy. Nie zawiodło mnie widzenie senne i *moja święta* nie daremnie tu mnie kazała szukać ratunku!

Gdy nie rozumiejąc tych słów, patrzyła nań z podziwem, on pośpiesznie dodał:

— Sprawa jest wielkiej wagi i nie cierpi zwłoki, dlatego proszę pani hrabiny o bezzwłoczne posłuchanie.

— Za chwilę czekam pana, tylko skończę moją modlitwę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

HISTORIA O JANASZU KORCZAKU I O PIĘKNEJ MIECZNIKÓWNE

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg)

W ten sposób Janasz zaledwie dzień jeden przeczekawszy w Mierzejewicach, wybrał się zaraz w drogę. Dano mu Pacuka, na nowo go obłókszy, i dwóch ludzi, bo Miecznikowa musiała z pieniędzy w Gródku odmurowanych, dać na przypadek wykupu pięć tysięcy czerwonych złotych. Była to suma znaczna, ale wiedzano, że Turcy za niektórych i po dziesięć z razu żądali, grożąc, że im głowy pościnają, jeżeli tych pieniędzy nie dostaną. Miecznikowa zaś dla przedsięwzięcia oswożenia męża z niewoli, nietylko gotową była oddać wszystko, co w gotowiznie w domu się znajdowało, ale spieniężyć się do ostatniej łyzki, a bodaj majątności zastawić. Nie chciała więc, aby po pieniądzu wracano i dała je, aby w pogotowiu były.

Ponieważ zapewne nie wiadano gdzie się król znajdował, a na zimę miał do Krakowa powrócić, gdzie już nań królowa oczekiwała, Janasz miał na Kraków jechać, szukając am sposobności dostania się na Węgry, gdzie się Turcy byli cofnęli i zamki trzymali.

Rano tego dnia odprawił mszę ksiądz Żudra na intencję podróży i wykupienie Miecznika, poczem Janasz poszedł pożegnać panią, przed którą pokłękł prosząc ją o błogosławieństwo na drogę, gdyż nie można było wiedzieć pod owe czasy, jaki los spotka człowieka, w podróży i zejściach z niewiernymi, którzy słowa nie zwykli byli dotrzymywać.

Rzucili się łzy pani Miecznikowej z oczu, bo do Janasza przywiązana była, niemal jak do dziecka, które się w jej oczach wychowało. Ścisnęła go za głowę wzruszona i pobłogosławiła. Jadzia stała na uboczu; poszedł do niej ręką jej całując, a dziewczę miało mocy tyle nad sobą, iż nie okazało co czuło. Odezwała się tylko: — Wracaj do nas zdrów z ojcem, będziemy się za was modlili i czekać.

Głos jej zadrżał, zakryła oczy, ścisnęła Janasza za rękę i odwróciła się. Wyszedł Janasz w dziedziniec gdzie go wszyscy jeszcze pożegnać i uściskać pragnęli, bo kochanym był we dworze, a nie jeden się upłakał, widząc że mizerny, z ledwie przygojonemi ranami, puszczał się w tak niebezpieczną drogę. Dano wóz kuty, mocny pod rzeczy i pieniądze; na nim dwóch ludzi dobrze uzbrojonych siadło, Janasz

zaś, jak zawsze, tak i teraz konia dosiadł, Pacuka mając za sobą. Napierał mu się Nikita, ale temu i spoczynek się należał i Miecznikowa go też w domu potrzebowała.

Zima się już zapowiadała, więc drogi nie były dobre, powietrze ostre i dni krótkie—podróż więc nie łatwo szła. Do Krakowa przybywszy dowiedział się Korczak, że króla się spodziewano, ale go tam jeszcze nie było, więc korzystając ze sposobności, bo się tam od królowej z listami szlachcie Kożuchowski z dobrym konwojem miał przedzierać, nie wiele spocząwszy, ruszył z nim razem. A było to bardzo szczęśliwem dla niego, bo przy poście owym ludzie się znaleźli doskonale dróg świadomi, przebiegli i umiejący prowadzić pewnymi manowcami, kędy się mało z kim spotkać było można, bo naówczas nie jednego Turka lękać się musiano, ale włóczęgów i zbiegów węgierskich, plądrujących na swoją rękę, Kroatów cesarskich i wszelakiego ludu, co z wojny korzystał dla bezprawia. Uszli przecie obronną ręką wszelkiego niebezpieczeństwa i cudem prawie króla z wojskiem zastali w oblężeniu Zeczyna, małej miasteczki z zamczkiem, otoczonym wodą i murami, w którym się Turcy ze znacznym oddziałem bronili.

Nad wieczór przybywszy do obozu, pozyskanego w drodze Kożuchowskiego użył Janasz, aby sobie zaraz u króla posłuchanie wyrobić, nie zwlekając i chwili. Wpuszczono z listami od królowej Kożuchowskiego, a w godzinę potem, gdy król listy przeczytał, bo do tych się zaraz rzucił jako zgłodniały wielce wiadomości, przyszło pacholę po Janasza, że się stawić może.

Królewski namiot ogromny był jak największy dwór i bardzo piękny a dogodny. Wszystkie z wzorzystej materii tureckiej podbitej suknem, z sznurami jedwabnymi i kotarami długimi, a izbami ścianami poprzdzielanymi. Można się w nim było zgubić, ktoby drogi nie wiedział, lecz pacholę prowadziło i podniósłszy płótek, wpuściło Janasza do środka. Pierwszy raz mając majestat królewski oglądać, Korczak strwożony nieco, u płotka zaraz stanął, pokłon czyniąc i nierychło oczy śmiejąc podnieść.

Dopiero po chwili, usłyszawszy głos, zwrócił wejrzenie na to miejsce, z którego wychodził. Izba była w namiocie pośrodku kolistą, obszerną, karmazynowym suknem ze złotem galonami cała wybita, kobiercami grubo wysłana. Na stole kragłym zaciągniętym makatą paliły się dwie świece i listy jeszcze leżały, tylko co porzucone. Król na składanym krześle z tasiem jedwabnych siedział w popielicowym kożuszku, na żupan wdzianym, ręce na kolanach, twarz jasna i spokojna. Tuszy już był znacznej, ale mimo to krzepki i silny. Wielką powagą swą uczynił wrażenie na przybyłym, ale nie mógł Korczak wstrzymać się w duchu od myśli, że na szlachcica raczej wyglądał zamożnego, niż na bohatera. Wielka prostota i dobroć blask królewski przyćmiewała. Buty tam szlacheckie było dosyć, lecz łagodne a miłościwe. Patrzył na Janasza i westchnął.

— Waszność jesteś przysłany od pani Miecznikowej Zboińskiej! Miły panie, choć milczysz jakbyś mi wymówkę przywiózł, że dotąd mojego dobrego przyjaciela i towarzysza z rąk tych pogan uwolnić nie mógł—ale chyba Bóg nie łaskaw, musimy go wrpedce dostać.

— N. Panie—odezwał się Janasz—pani Miecznikowa do stóp W. K. Mości się ściele, a prosi jeno o pomoc i pośrednictwo, choćby przyszło okup zapłacić!

— Niech Bóg uchowa—przerwał król—mam ja dosyć pochwytyanych ich paszów, dam ile zecheć, byle raz do ładu z nimi przysjd. Lecz z przewrotnym narodem tym wiedzieć trzeba jak się układać, im człek więcej nalega, tem więcej robią trudności, a cenę podnoszą.

Przecież już mi słowo dali i umowę byli podpisywali, że Miecznika wydadzą—a no im się zdało targować jeszcze, aby więcej wydrzeć.

— Gdyby łaska W. K. Mości ułatwić mi tylko przystęp do mojego pana, jabym już i sam.

Król Jan się rozśmiał.

— Dobrze chęci waszmości—rzekł—jakże się zowiesz?

— Korczak—odparł Janasz.

— Dobrze chęci, mości Korczak, ale więcej serca

gorącego niż znajomości tego, co się tu dzieje. Tu i wytrawni rady nie dadzą—coż dopiero człek nowy! Z poganami sprawa.

Westchnął król.

— Przeczekajcie dzień, mam coś na myśli.

— Mam z sobą N. Panie, pięć tysięcy dukatów na okup, lękam się o nie, W. K. Mość pozwolisz abym je złożył do kasy pańskiej.

Ramionami ruszył król i wasa pokreślił.

— Niepotrzebnieście je wieźli, bo my go, Bóg da, bez pieniędzy dostaniemy. Pojmuję niecierpliwość p. Miecznikowej.

— Al! N. Panie—gdybym się ja tam tylko mógł dostać—rzekł Janasz.

— Poślemy do Neuhasel, gdzie nieboraczysko siedzi, to się przyłączysz—odparł król po chwili—lecz uprzedzić sam muszę, iż Miecznik pokorną tam przybrał postać, aby go nie obdarto, i nie rad, by się bardzo nim zajmowano.

W tem nadechodzący Denhoff po rozkazy, przerwał rozmowę. Król wstał i zbliżywszy się do Janasza po ramieniu go klepnął.

— Bądź dobrej myśli, a bezemnie się z niewczesną gorliwością nie wyrwij, abys mnie i Miecznikowi sprawy nie popsuł.

A popatrzywszy na Janasza dodał:

— Hoży z waszmości chłop—i na żołnierzabyś się zdał, lecz cożes to tak wymizerniał?

— Choroba, N. Panie, a wprzód jeszcze ciężkie ciężkie przejście z Tatarami, jakiegośmy z Miecznikową na Podolu doznali,—zdrowie mi odjęło!

— A cożesie mogli, wy z Tatarami, mieć do czynienia?

— Oblegli nas na zamku, tośmy się w kilkudziesięciu na tysiąc ich opierać musieli.

— No—i co! oparliście się? jak się patrzy....

— Myśmy się trzymali dopóki było można, choć dolne zamczysko już wzięli, aż pułkownik Duleba na odsiecz nadciągnął.

— Miecznikowa ma nieszczęście prawdziwe do tych niewiernych, dodał król, lecz się to prędko skończy i wygnamy ich raz na zawsze z Europy, a nasze Podole odzyskamy. Amen, domówił król.

Janasz rękę jego ucałował i odszedł. W obozie choć znajomych nie było, znaleźć łatwo, przyjaciele przyjaciół zaraz się nastreczyli—i Korczaka wzięto, bo każdy był z Polski nowin chciwy.

Wojsko znać było zmęczone wielce pochodem a nieustannemi utarczkami pognębione, lecz duch w niem panował i ochota niezmierna. Łupów najrozmaitszych namioty i wozy były pełne.

Za bezcen sprzedawano najosobliwsze sprzęty, z którymi nie wiadano co czynić, bo ich za sobą wieść nie było podobna. Wychudzeni, ogorzali, pomarзли, odarci, często głodni, śmieli się rycerze, wesolością nadrabiając, gdy czego brakło. Janasz się owego wieczora nasłuchiwał dziejów, których przez życie całe nie zapomniął. Sami je bohaterowie opowiadali, nie szukając z nich chluby.

Nazajutrz szturm miano przypuścić do Zeczyna, w którego murach odkryto wyłom na prędce kołami i ziemią zabity. Jak świt ruszono się z obozu, a Korczak wytrzymać nie mogąc, na ochotnika się wprosił pomiędzy jazdę. Rychło jednak konia rzucił, a sam z innemi, szablę dobywszy, pobiegł do szturm, który ze dwóch stron przypuszczono. Niemal jednym z pierwszych dostał się mimo gradu kul pod wrota, pod które już petardę miano podsadzić, aby je podpalić i skruszyć, gdy naparciu Turcy i z tej strony i wyłomem przez cisnącą się piechotę regimentu Denhofowskiego, wywiesili białą chorągiew.

Król sam stał na koniu nieopodal, gdy się Denhof z Agą Czorbądzim umawiać zaczął. Zezwolono aby z życiem szli wolni, bez broni i bagażów.—Janasz z wyprawą swą powracał mimo tego miejsca, na którym król stał. Poznał go Sobieski zaraz i skinął aby się zbliżył.

— Dzielne serce—zawołał śmiejąc się—takich lubię. Wczoraj z drogi, a dziś na ochotnika poszedł.

Janasz był lekko draśnięty w rękę.

— Chciałem też mieć szczęście pod rozkazami króla przelać krwi kropelkę za wiarę świętą.

Król głową skinął i wasa pokreślił.

— Cożes tam słyszał? Denhoff ich widzę puszcza wolno?

Turcy w tej chwili poczęli się przez wrota tłoczyć, mimo króla ciągnąc. Przyskoczył Denhoff.

— Nie może to być—zawołał Jan, abym ich puścił wolno wszystkich, kiedy oni mi Miecznika trzymają, mimo obietnicy. Agę z synem i co przedniejszych zatrzymać, aż go uwolnią.

Wstąpiła dusza w Korczaka, widząc jak król o Zbońskim pamiętał. Napróżno się Turcy prosili, błagali i wymawiali—nie pomogło nic. Janaszowi zaraz myśl przyszła, ażeby z tych zatrzymanych w niewoli korzystać i gdy Zeczyn zajmowano, przez Kozuchowskiego się jął u króla dopraszać, aby mu ze dwoma Turkami dozwolono jechać, i wydania Miecznika domagać się w zamian za Agę, jego syna i zabranych przedniejszych dowódców.

Zrazu król się opierał, kogo innego wyznaczyć chciał, potem Węgry dodawszy, zezwolił, Turkom jadącym z nimi przez tłumacza zapowiadając, że jeśliby posłom włos z głowy spadł, jeńców natychmiast śmiercią ukarze.

Tak tedy króla pożegnawszy i nasłuchawszy się nauk i przestróg wielu, jak sobie miał poczynić, Janasz tegoż dnia przed wieczorem w niebezpieczną wyruszył drogę.

Turcy dodani, choć się sprawowali spokojnie, milczący jechali i widocznie gniewem na gjaurów przejęci. Wzrok ich, postawa i mrużenie ciche, nie dobrego nie wróżyły. Węgier milczał, Janasz się opiece Bożej powierzał, jedno sobie powtarzając, iż bądź co bądź Miecznika oswobodzić musi, choćby sam miał tam przepaść.

Drugiego dnia nad wieczorem ukazał się zameczek przez Turków zajęty i pogorzelisko około niego a dom ów murowany, w którym u syna Agi, Miecznik w niewoli zostawał. Najprzód jednak przewodnicy zmusili Węgry i Janasza na zamek iść do Paszy. Gdy do wrót przybyli, a z załogi postrzeżono swoich, którzy dwu chrześcian prowadzili, myśląc iż to byli jeńcy, uradowano się wielce. Wkrótce jednak radość ta spełzła, gdy poczęli przybyli opowiadać, że Zeczyn został wzięty. Wielka wściekłość opanowała ich, na zamku ruch się wszczął ogromny, a stojący w podwórzu, wśród odgrządzającego się tłumu, mogliby paść jego ofiarą, gdyby przewodnicy nie zapowiedzieli co im król mówił i jako bezpieczeństwo posłów poprzysiądz musieli. Godzina dobra upłynęła, nim się na zamku nieco uspokoiło, a do Paszy ich puszczono. Węgier tu głównym był, bo się po turecku mógł rozmówić, Janasz siedł za nim.

Wprowadzono ich do tej izby, którą opisywał Pacuk, a zastali w niej znowu Paszę z cybuchem, na poduszkach, z szablą i buńczukiem wiszącymi nad głową. Człek był stary, z brodą długą, z różańcem w jednym ręku, z nogami podkurczonymi. Oczy miał z gniewu krwią nabiegłe. Zaledwie weszli a Węgier mówić począł, wybuchnął Pasza z odgrózkami, iż za wszystko Polakom zapłać, że stokroć większe wojsko ściągną i kamienia na kamieniu nie zostawia.

Węgier go spokojnie słuchał aż wszystką swą złość wywarł, dopiero spokojnie rzekł:

— Nie potośmy tu przyszli, abyśmy tych obietnic słuchali. Wiecie co się stało. Król swojego sługi który u was w niewoli zostaje, domaga się. Przysięgliście go wydać i zatrzymali, wziął więc waszych przedniejszych, Agę-Czorbadzgo i jego syna i trzymać ich będzie, póki tego nie wydacie, po któregośmy tu przybyli.

— Ja królewskiego sługi nie mam, bom go synowi darowałem—rzekł Pasza—z nim o okup się układajcie.

— Nie o okup myśmy się tu przyszli umawiać ale o wymianę. Król wam daje więcej niż złoto, bo potrzebnych wam i mężnych dowódców waszych.

Zmilczał Pasza.

(Dalszy ciąg nastąpi).

RODZINA

jako stowarzyszenie się do szczęścia.

Rozwój ludzkości w naszym wieku ma swoje szczególne znamiona, które nie mogą ująć uwagi umysłów jako tako w życie patrzeć umiających.

Wzwał pomiędzy jednostką a społeczeństwem coraz się silniej zacieśnia. Znikają lub słabną stopnie pośrednie: węzłów rodzinnych, przyjacielskich, koleżeńskich. Uczucie indywidualne przetwarza się stopniowo na uczucie ogólne ludzkości i miłosierdzia dla mass. Człowiek mniej patrzy w siebie, więcej na około siebie, a tu znowu więcej na zewnętrzne niż na wewnętrzne, moralne warunki bytu jednostek po za nim stojących. Uznana potęga wiedzy i oświaty, każe lekceważyć siłę moralnej dzielności: mniej nam chodzi o wyrabianie charakterów niż rozumów, a lepiej jeszcze powiedzmy umysłów, w których boskie kryształy rozumu mogą nigdy nie osiąść, pomimo najusilniejszego kształcenia. Wszystkie nasze teorie, wszystkie poglądy filozoficzne na życie, oraz praktyki humanitarne—te przynajmniej, które największego doznają rozgłosu—ulegają naciskowi doktryn ekonomicznych: stawiają przedewszystkiem przed oczy dobro materialne jednostki, a mając sobie oddaną idealnie ludzkość do wypielegnowania przyznają *ilości* pierwszeństwo przed *jakością*. Więcej im idzie o wychowanie człowieka w jaknajwiększej ilości, aniżeli w jakości jak najlepszej. Tak samo postępuje natura wytwarzając organizmy. Niezmierna troskliwość panuje i w książkach i w urzędzeniach prawnych i w wolnych praktykach społecznych (stowarzyszenia filantropijne) o życie fizyczne jednostki: wypadki w kopalniach angielskich, na kolejach żelaznych zagranicznych, na morzach dalekich zgrozą nas przejmując; oburzamy się, ilekroć lekkomyślność ludzka miała w nich udział. Pragniemy uchwycić massy od głodu, choroby i śmierci nagłej—od tego, od czego chronimy bezwarunkowo zawsze i wszędzie własne swe indywidualne istnienia. Jest w nas może dużo miłości, ale miłości zaszczerpionej na egoizmie i dążeniu do dobra materialnego.

Powiedziano, że rozwiązują się lub rozluźniają w dzisiejszym rozwoju węzły pośrednie między jednostką a społeczeństwem. O rzeczywistości tego zjawiska duchowego przekonywa codziennie przedmiotowo—przy przeciwstawieniu się życiu—zbierane doświadczenie. Jednostka coraz powszechniej wzrasta, wychowuje się, działa, czuje i myśli w atmosferze ogólnej, coraz głębiej tonie w morzu życia społecznego. Przeznaczaniem jej nie jest też nic innego tylko wyjść najpierw z łona matki, potem z łona rodziny—aby ostatecznie wejść w społeczeństwo, wpleść się w wieniec ludzkości. W tem niema nic złego, że się dusza w społeczeństwie kształci, w społeczeństwie działa, przez społeczeństwo żyje. Idzie tylko o to, aby się do tego kształcenia, działania i życia uzdolniła—we właściwej szkole, a ze szkoły wyszedłszy, rzetelnie wyniesione z niej zasoby spożytkowywała. — Przytem bądźmy szczerzy. Dla wybranych dusz tylko, przy wybranych tylko środkach, istnieje kształcący wpływ społeczeństwa. Dla wielkiej massy istot ludzkich, ciemnych czy oświeconych, wszystko jedno, społeczeństwo nie jest ani szkołą doskonalenia się, ani widownią czynów, z którychby się wypromieniało boskie człowieczeństwo, ani machiną przedwiecznej harmonii, w którejby jednostka uważała się jedynie za drobne kółko służące pokornie ruchowi ogólnemu. Takiego idealizmu czasy dziś już minęły. Kto chce dziś prawdziwie wiary dochować, ten przyzna, że jednostka wechodzi do społeczeństwa dziś na to, aby sobie jak najlepsze warunki dla bytu fizycznego wywalczyła. Społeczeństwo jest dla niej nie szkołą, ale bojowiskiem wyjątki tylko niezmiennie drobne stają do życia z innem przeświadczeniem. Wielka massa przychodzi tylko ucierać się z losem o byt jaknajbardziej ożłocony. Dobrze jeszcze jeśli pojęcie walki nie wykracza z granic pracy uczciwej, ale egoistycznej prowadzonej o chleb powszedni. W tej pracy myśl i serce wyteża człowiek na siebie i swoich, nie troszczy się, niema ani dość czasu, ani dość potęgi duchowej na to, aby się troszczyć o jakąś idealną całość życia społecznego. Każdy to widzi—że jeśli społeczeństwo ma być jakimś pojęciem rozumem, jeżeli można mówić o społeczeństwie jako o pewnym porządku duchowym, panującym nad jednostką, to dziś jednostka w powszechności nieczem się do ustalenia porządku tego nie przyczynia. Cele społeczne dla niej nie istnieją, cele indywidualne osiągnąć bywają z naruszeniem wyższych praw społecznych, ów duchowy porządek składających. To nieuznawanie celów jednych, a osiągnięcie dru-

gich niewłaściwymi środkami—jest tylko dowodem przemaganania natury bezwiednej nad świadomym siebie duchem, jest dowodem niewykształcenia i bezwładności duchowej—w jakiej jednostka staje dziś na progu życia społecznego. Czy życie to da jej brakujące przymioty, czy ją z młodej uczyni silną, ze ślepej jasno patrzącą, z obojętnej czującą na dobro, czy ją uzdolni do celów swoich, choćby uzdolnienie to zapewniać miało tylko bierne nienaruszanie harmonii ogólnej? Czy społeczeństwo poprawia jednostkę wstępującą już w szranki, przychodzącą bez niczyjej opieki, z własnym swem prawem i własnymi dążeniami? Czy dodaje człowiekowi—nie pojedynczym przykładowym wyjątkom, ale *człowiekowi przeciętnemu*, że się zapożyczy od Queteleta—czy takiemu człowiekowi społeczeństwo dodaje wartości duchowej? czy każde nowe słońce wita go coraz lepszym wewnątrz? Jednym słowem: czy życie umoralnia człowieka i czy jest dla niego rzeczywistą szkołą moralności, bez której ów duchowy porządek pojąć się nie da?

Życie samo udziela na te pytania przeczącą odpowiedź. Życie więcej z nas bierze niż nam daje dla moralnej naszej siły, dla charakteru i prawości serca. Jeżeli walka życia wyrabia w nas siłę woli i wytrzymałość na złe—nie zostawia nas za to nigdy całymi, nietkniętymi. Dobrze powiedziano, że z walki życia nie wychodzi się bez ran—a te rany to nie same tylko cierpienie ale i skazy na duszy. Wiele bezwzględnie zyskujemy w społeczeństwie i przez nie dla tej części naszej istoty, która się ma w praktycznym działaniu, w umiejętności pożywania z ludźmi objawieć. Nabywany skarb doświadczenia posłużyć nam nawet może do wyrobienia charakteru, do wzbogacenia nietylko umysłu wiadomościami, ale i duszy przymiotami moralnymi; musi być jednak rzeczywistym skarbem, to jest uzbieranym umiejętnie, według zasad, które w kolei czasu wyprzedzić musiały gromadzenie doświadczeń. Zebranie zasobu przypuszcza tu zatem przedistnienie siły: zasób będzie miał wtedy tylko znaczenie dla moralności, jeśli zebrany był w dążeniu do niej. Doświadczenie, aby było pożyteczne, musi być światłem idei moralnych oświecone; bez niego będzie jak owo przekłete drzewo figowe w Ewangelii: daremnie ręka sięga nań po owoc. Doświadczenie zebrane przez człowieka wewnątrz nie moralnego idzie tylko na uciechę szatana. Człowiek zepsuty im bardziej w życie patrzy, tem więcej z niego wynosi zatwardziałości na złe; myśl rozumna służy mu do zguby. — Dla ludzi zwyczajnych, powszednich, dla mass żyjących rodzajowo—doświadczenie jest tem ciepłym ożywcem w którym rozwija się coraz bujniej egoizm. Oddalamy się krok za krokiem coraz bardziej od młodości swojej; stajemy się ostrożnymi względem ludzi, niedowierzającymi słowom i czynom; jak najmniejszym wydatkiem sił własnych zyskujemy jak największą sumę dóbr ze świata zewnętrznego; szukamy we wszystkim własnej korzyści; porzucamy ideały krążące gdzieś w powietrzu, a chwytamy za rzeczy dotykalne leżące na ziemi, śmiejemy się z dziecinnej, wiary w świat wyższy—i sumę tego wszystkiego nazywamy doświadczeniem. Że w zakresie tym niema miejsca na umoralnianie się—tego dowodzić nie potrzeba. Jedynym dodatnim skutkiem doświadczenia jest ułatwianie człowiekowi życia, przez ową wyżej wskazaną umiejętność, która się w umyśle doświadczonego wytwarza. Łatwość ta, raz nabyta, nie małem jest dobrodziejstwem. Ileż ludzi gotuje sobie samym i innym nieszczęście przez to, że dość łatwo żyć nie umiają, że potrzebują wielokroć większych sił nad rzeczywiście niezbędne dla pewnego celu! Ile szamotania się niepotrzebnego, ile nadziei zawiedzionych, ile gniewów i gwałtów oszczędza nam doświadczenie zebrane w porę! Gdy się młodość wypali, spokojniej—choć może nie beznamietniej—żyjemy. Możeby się nie życia zbyt prędko rwała, gdybyśmy ją ciągle rozwijali na kółowrotku młodości. Spokojem, z doświadczenia czerpanym, zapewniamy sobie długowieczność. Nie chcemy porywczowości wiekuistej Tassa, szlachetnej zapaleczności Klonowicza: obaj byli długo młodymi, przez to tylko, że doświadczenie od siebie odtrącali. Trochę „bawelny w uszach od ludzkiego jęku“ przydać się może człowiekowi, godziwie przydać się musi odkąd uszy jego słyszać zaczynają wielu jęków fałszywych. Zbyttna uczuciowość wieku młodego, wybuchająca

nagle jak zapalka i częstokroć jak zapalka prędko wypalająca się, znika przez doświadczenie—a przyznać trzeba, że wraz z nią ustępuje nam ważna zapora z drogi życia. Surowość także wieku młodego łagodnieje, okrzesa się w ruchu życiowym: dziecko poszukujące towarzystwa rówieśników swoich i w towarzystwie tem swobodnie poruszające się, nie jest jeszcze istotą towarzyską w chwili, gdy wchodzi w świat szeroki. Społeczeństwo nauczy go ważnego przymiotu towarzyskości — ale czyliż tej dodatniej nauki nie łączy najczęściej z ujemnym wpływem na charakter? Czy dając nam ogłędę towarzyską, umiejętność godziwą wychodzenia z ludźmi, nie zaszczenia jednocześnie konwencyonalizmu i wielmożnej obłudę względem bliźnich? Jakiekolwiek zresztą wyprowadzalbymy mogli trwać pożytki dla duszy z życia społecznego, nie zdolamy nigdy odtrącić od siebie przekonania, że działalność umoralniająca od wielkiego zbiorowiska ludzkiego, w którym co innego zupełnie jest celem niż moralność—spodziewać się nie można. Jeżeli zatem chcemy mieć w społeczeństwie życie, o ile można moralne, musimy odpowiedniej szkoły poszukać gdzieindziej, poza społeczeństwem pojmowanym—jako ostateczna, najobszerniejsza, najbardziej zewnętrzna sfera życiowa.

Gdzież więc będzie ta szkoła?

W rodzinie — odpowiemy. Moglibyśmy dodać: w religii, ale tem drugim źródłem zajmować się tu nie możemy. Poprzestajemy na rodzinie.

Rodzina stanowi istotną szkołę moralności. Moralność nie wszczepiona pod dachem rodzicielskim, przy warsztacie prac domowych, przy okrągłym stole zabaw wspólnych, u węzłowi cierpień rodzinnych, nigdy już w duszy się nie zazieleni. Jak pierwsze uczuciowe podstawy religii, tak pierwsze podstawy moralności człowiek bierze z rodziny. Ze złych rodzin wyrastają złe dzieci; jabłko rzadko kiedy pada daleko od jabłoni. Wyjątkowe tylko, błogosławione natury z tła mrocznego wybijają się na zewnątrz w jasnych promiennych postaciach. Ale i one w braku naturalnego kształtującego ich rodzicielstwa, takie rodzicielstwo sztuczne mieć musiały. W naturach takich duch wcześniej, wcześniej niż w innych, powszednich zapanował nad bezwiednymi żywiołami istnienia; dzieckiem jeszcze będąc, każda natura taka zastaje już nad sobą rząd z myślącego, wzrokiem wewnętrznym obdarzonego ducha.—Pierwszym typem współczesności, najpierwszem w czasie stowarzyszeniem się człowieka jest rodzina. Rodzina stanowi grunt, w którym istota ludzka wzrasta: społeczeństwo jest dla niej powiatem, w którym dojrzewa, w którym ścinana bywa na żniwo pożytku ogólnego. — Społeczeństwo wykształci istotę ludzką na specjalistę, na użytecznego człowieka powszechności, na dobrego pracownika przy wielkiej maszynie społecznej, ale powtarzamy raz jeszcze, nie wykształci jej na dobrego, prawdziwego, moralnego człowieka. — Zadanie to ciąży na rodzinie. Dla życia a raczej dla trwania wystarcza społeczeństwu praca zmierzająca do utrzymania zewnętrznego porządku, do produkowania dóbr materialnych i szerzenia oświaty—praca dzisiejszego wieku; dla szczęścia potrzebuje społeczeństwo we wszystkich zakresach swej pracy — wewnętrznej prawości pracowników. Ma więc rodzina znajdująca dla siebie tarczę w społeczeństwie, korzystająca z jego potęg, ma obowiązki wywzajemniać się społeczeństwu dostarczaniem istot moralnych, któreby nieprawością swoją na bycie ogólnym nie ciążyły, nie rujnowały go, nie wstrzymywały prawdziwego postępu, polegającego jedynie na duchowym doskonaleniu się ludzkości. Jakże rodzina dzisiejsza spełnia ten obowiązek?

Wychowanie dzieci stoi na bardzo niskim stopniu. Z głowy dziecka robimy stodołę, napelnioną wszelkiego rodzaju zbożem: kształcenie jego serca, wyrabianie w nim woli prawej czyli charakteru zupełnie prawie zaniedbujemy. Upojeni szczęściem materialnym, na tory jego wprowadzamy dziecięce zawczasu, zbrojemy je we wszystko w co je sam egoizm zaopatrzyć musi. Dobrze, że przytępiamy czułość; lecz wypieniamy przytem i samo uczucie. Nie przyzwyczajamy dziecka do miłości, ani dla nas samych, ani dla rodzeństwa, ani dla towarzyszy; nie rzucamy na duszę dziecka ani ziarna przyjaźni indywidualnej, ani bezimiennnej, ogólnej miłości bliźniego. Zrezygnujemy się dobrowolnie z

telnego przywiązania, jakie nam się od dzieci należy—jak gdyby nam wolno było zrzekać się podobnego prawa! jak gdybyśmy abdykacyą taką społeczeństwa nie krzywdzili! Patrzymy się na dzieci jak na zabawki.

Zaniedbywanie edukacji uczuciowej w rodzinie odbija się na życiu. Najsłuszniejszą ze skarg, jakie moralisci na wiek dzisiejszy zanoszą, jest coraz większe znikanie przyjaźni ze stosunków ludzkich. A kto ma być za ten ustawicznie rosnący ubytek odpowiedzialnym, jeśli nie rodzina? Stary jeszcze Plutarch powiedział, że człowiek w rodzinie tylko uczy się przyjaźni i miłości bratniej. Skąd się ma dziś nauczyć, czy go zimna dłoń rozgrzeje, a ślepe oko poprowadzi?—Ważniejszem jeszcze jest to, że dzieci nie przyzwyczajają się dziś do obowiązku, do panowania nad sobą, do ograniczania swej samowoli, nie czuje władzy, i nie wyrabia jej w sobie. Życie rodzinne dziś w większej części swych zjawisk — są bowiem i będą zawsze pocieszające wyjątki—przedstawia obraz państwa popadłego w anarchję: brak w nim władzy, brak działalności, któraby wynikała z istoty tej władzy a zmierzała do jej celu.

Punkt to bardzo ważny i musimy jeszcze nad nim się zastanowić.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

„Miłe złego początki“. Komedia oryginalnie napisana w 1 akcie, przez Wł. hr. Koziembrodzkiego.

Z przykrością musimy powtórzyć nie po raz pierwszy, zdanie nasze co do surowości recenzji teatralnych o sztukach oryginalnych, nie zostającej w prostym stosunku do surowości, względem sztuk tłómaczonych z obcego. Dziwna to a zarazem smutna rzecz, że skarżymy się nieustannie na brak sztuk oryginalnych, domagamy się ich bezustannie od Dyrekcyi teatralnej, a gdy się ukaza, powalamy je wnet o ziemię, bezwzględna, surową krytyką. Niechęć bynajmniej przez to powiedzieć, iżby się należało pobrać utworom nie mającym żadnej wartości — bo w ten sposób nie oddaje się przysługi ani autorowi, ani publiczności i scenie, ale jeżeli tylko utwór oryginalny mimo stron słabych, posiada pewne warunki bytu, lub jeżeli stanowi zadatek wyrobienia się na przyszłość, wówczas należy go przegarnąć z miłością, a wytknąwszy usterki, zachęcić autora do dalszej pracy.

Taką zasadą rządaliśmy się zawsze na tem miejscu, nie pobrażając tylko nigdy dziełom niemającym żadnej a żadnej wartości, lub dramatów i farsom francuzkim, których do nas ni przypiął nie przyłatak, a które przecież na mocy swego stempla zagranicznego, opanowały scenę naszą przeważnie.

Moglibyśmy cyframi wykazać, że na piętnaście sztuk obcych, przypada jedna oryginalna i że kiedy tamte mimo uznanej ich miernoty lub rażących smak nasz efektów, utrzymują się ciągle na repertoarze, jak gdyby chciano nas do nich gwałtem przyzwyczaić; — oryginalne, po kilku przedstawieniach, znikają całkiem z repertoaru. Dosyć tu, nie przypominając nowszych, wymienić „Przyjaciół“ i „Mąż i żona“. Fredry, których od lat siedmiu a może i więcej nie grają wcale, albo Korzeniowskiego, którego, pomijając niektóre przedawniały tendencję komedye lub dramata, dałoby się jeszcze przeźrzeć z korzyścią dla repertoaru.

A cóż mówić teraz o oryginalnych sztukach, gdy większość ich, z powodu nagłej śmierci nieodżałowanej s. p. Wiktoryny Bakałowiczowej, (Pozytywni, Kawaler marcowy), wcale grać nie będzie można? Takie więc jednoaktowe sztuki oryginalne jak komedya „Miłe złego początki“ już choćby z tej przyczyny, dłuższy powinny mieć zapewnione byt na scenie, a tembardziej też, gdy z wielu względów nań zasługują.

P. Koziembrodzki jest autorem dramatycznym, znany już z niejednego dzieła scenicznego szerszych rozmiarów, granego na scenach lwowskiej i krakowskiej—nie jego więc może winą, że wystąpił u nas po raz pierwszy z mniejszem. A jeżeli odnaleźć w nim można pewną analogię w jednej z sytuacji

z „Akrobata“ Feuilleta, to i analogia ta jest daleką, i jeszcze nie stanowi dowodu, iżby się potrzebował zapożyczać u obcych. Analogia zaś cała na tem polega, że jak w „Akrobacie“ żona zapomniała na chwilę o swych obowiązkach, powierzając się kuzynkowi który tego nie był wart, tak i tu żona finansisty, podlegająca przez lekkomyślną przyjaciółkę, pozwoliła sobie prawie komplementa młodemu przyjacielowi męża—ale tam rzecz nawikłana i rozwijana dramatycznie, tu zaś przechodzi w zakres czystej komedyi, prowadzonej przez swojskie elementa. Taki bowiem finansista w „Miłych złego początkach“ jest kreacją czysto galicyjską, wyrosłą na dzisiejszym ugorze gry giełdowej, spekulacyi finansowych i koncessyi, jak również i pani Karolina przyprowadzająca bardzo prędko do przytomności młodą żonę, sposobem praktycznym, moralnym a wielce komicznym, żywcem wzięta z grona naszych niewiast.

Jest tu więc żywioł swojski — jest i komiczność we wprowadzeniu mamki z dziećmi, jako towaru, który Don Żuan powinien wraz z żoną wykraść i jest zrzeczność w dyalogowaniu, a nawet w sytuacji w owej rozmowie Edwina z żoną, którą zbłaźnieniu pragnie. A lubo zaprzeczyć nie można, że się autor zbyt zapatrzył na wzory francuzkie, to przecież nie stanowi tak ciężkiego zarzutu, bo może takie nasładowanie posłużyło mu do zrzędnego układu scen.

Autor chciał ukazać pierwszą lekkomyślność młodej żony, ale i rychło jej opamiętanie się i szczery jej żal—w tem tylko dając podobny typ, do kochanka Feuilletowskiego, że jak tu tak i tam, kochanek ten radby się bawić „bez przeszkód“, więc też z pierwszą spotkaną na drodze trudnością i przykrością, nie myśląc walczyć, poprostu zmyka.

W czemże więc głównie leży wina niepowodzenia tej komedyi, która nie będąc arcydziełem, da się przecie wysłuchać z przyjemnością i nie zasługuje bynajmniej na tak srogie wyroki? Odpowiadamy krótko: w złej grze artystów.

Nie żądamy bynajmniej, iżby młodzi artyści wypożyczali zupełnie, ustępując zawsze artystom już wyrobionym i doskonałym—bo ciągle kształcić i wyrabiać się powinni—ale należało nie tak szczerze obsadzać nimi wszystkie role, i nie należało być tak skąpym w wyborze dobrych artystów. Gdyby chociaż najważniejsze role powierzone były wyborowym siłom artystycznym, byłaby przynajmniej jakaś równowaga, a utwór oryginalny nie potrzebowałby zawsze padać ofiarą. Jeżeli w „Sfinxie“ widzimy najpierwszych naszych artystów, jak np. Modrzejewską, Popiel, Leszczyńskiego, Rapackiego, Szymanowskiego, albo w tak małej komedyi z niemieckiego p. t. „On nie jest zazdrosny“, widzimy pp. Popiel, Tatariewicz, Chomińskiego, to i w oryginalnej sztuce, należałoby się już choćby dla sprawiedliwości, oddać główną rolę jednej z sił artystycznych wyższego rzędu.

Czem zaś jest gra umiejętna artystów, nie potrzebują się rozwodzić. Niezawodnie że sztuki nie mającej żadnej a żadnej wartości, nie ochroni ona od upadku, ale i to niemniej jest pewnem, że dobre strony zdoła należycie podnieść i przeto uczynić widza pobłażliwym na inne usterki.

Jeżeli gra jednego lub dwóch artystów jak np. pani Niewiarowskiej w „Miłych złego początkach“, wyróżniała się z pośród innych, doskonałem pochwyceniem intencji autora i niemniej trafnem umiarkowaniem, to u innych okazała się ona tylko ćwiczeniem, mechanicznie dosyć opracowanem, ale nie podyktowanem twórczością, bez której jak poeta tak i aktor, nigdy się wzniesie ponad powszedność, nie będzie zdolny. Pragnęlibyśmy z przyjemnością, mieć sposobność dostrzeżenia rzeczywistego postępu tych kilku artystów, których nazwisk właśnie dla tego, w niniejszem sprawozdaniu nie podajemy.

E. Lubowski.

Kronika naukowego, artystycznego i społecznego ruchu kobiet.

Gazeta Polska w dodatku swym do Nr 246 (7 listopada) zamieściła ciekawy artykuł, czerpany ze sprawozdania komisji Gostyńskiego towarzystwa rol-

niczo-przemysłowego: „O gospodarstwie w dobrach Mchy.“ Obraz wspomnianego tam gospodarstwa przedstawiony został najpierw członkom towarzystwa, a potem czytelnikom Gazety Polskiej, „jako przykład godny naśladowania“ i pismo nasze w podobnym również celu podaje znalezione tam szczegóły, które odnosząc się do gospodarstwa kobiecego, mogą stanowić dla wiejskich pań naszych „przykład godny naśladowania.“ W dobrach Mchy i Chwałków, z przyległościami Kołacin i Halin, gospodarstwo kobiece przedstawiło się członkom badającej je komisji w świetle niemiernie korzystnym, jak gospodarstwo męskie, które za wzorowe uznaniem zostało. „Pod wyłącznym zarządem samej pani zostające,“ gospodarstwo to odznacza się tak wielkim porządkiem i ładem, jak umiejętnością prowadzenia. Oglądano kolejno różne jego gałęzie: trzodę chlewną, drób, gospodarstwo mleczne, sady i ogrody, na koniec kuchnię, izby czeladne, piwnice i wszędzie znaleziano najwyższą czystość i wyborny rozkład czynności. Rachunki gospodarcze prowadzone są z największą ścisłością „przez samą panią“ i codziennie własnoręcznie pisane. Sprawozdanie komisji przytacza z nich kilka pozycji, które wykazując rezultaty podejmowanych trudów, niewymownie o ich skutku świadczą. W roku 187^{2/3} dochód czysty po opędzeniu potrzeb domu i gospodarstwa czynił:

Nabiał przyniósł 2,120 talarów, — trzoda chlewna 1,297 talarów, — ogród i sad 284 talarów — drób 227 talarów.

Od 1 lipca 1873 r. do 26 kwietnia 1874 roku, czyli w przeciągu trzech kwartałów, nabiał przyniósł: 1,411 talarów, — trzoda chlewna 1,157 talarów, — ogród i sad 476 talarów, — drób 346 talarów.

Cyfry te są tylko obrazem pewnych momentów gospodarstwa pani Kraśnickiej, gdyż przy ogólnem obliczaniu przez komisję dochodu z dóbr Mchy, wymieniono, że trzoda chlewna przynosi rocznie 2,000 tal., a drób, chowany tylko w wyborowych gatunkach, przytem dobrze pasiony i stosownie utrzymywany, daje dochodu rocznego 500 talarów. Trzoda jest wielkiej rasy „yorkshire“ a przy dbałej chodowli dochodzi rzadkiego wzrostu i niezwykłej tłustości.

Ekonomiczne przekonanie naszego pisma, że w naszym kraju główne źródło pracy kobiecej jest na wsi, znajduje tu niejako potwierdzenie. Choć na mniejszych majątkach cyfry dochodu otrzymanego nie mogą być tak imponujące, widzimy niemniej jak w gospodarstwie wiejskiem zaznaczyć się może dział kobiety. Trzeba tylko do tego dwóch rzeczy: Najpierw pracy szczerzej, którą tak przez rozum, jaki uczucie rodzinnego i obywatelskiego obowiązku podjęła kobieta ochotnie, niejako ciężar bolesny i unieszczęśliwiający, ale jako powinność moralną z jednej strony (Św. Paweł napisał: — Kto nie chce pracować niech nie je), z drugiej, jako nieuniknioną konieczność dzisiejszego ekonomicznego stanu. Powtóre, trzeba odpowiedniej umiejętności: trzeba aby kobieta tak podparła się nauką w gospodarczym zawodzie swoim, jak podparł się nią mężczyzna. Przejście przez dobrą szkołę gospodarczą może ją dać jedynie, jeżeli gospodarstwo kobiety ma się zaznaczyć prawdziwie w dobrobycie rodzin i rozwoju pomyślności krajowej. Doświadczenie matki przekazane córce, stanowić może i powinno podstawę pierwszą, grunt dobry, na którym przecież należy zasiać ziarno nauki, któreby było postępem. Przy zmianie stosunków ekonomicznych dawne tory już nam starczyć nie mogą, musimy szukać sobie dróg pracy szerszej, racjonalniej prowadzonej, bo inaczej nie wytrzymamy konkurencyj z zagranicą, która w takim razie wprowadzała nam będzie przedmioty potrzeby ogólnej tańsze i lepsze, a my wtedy, tak jednostki, jak ogół, będziemy ubożyc coraz więcej. Kobieta dobrze wykształcona w przedmiocie gospodarstwa wiejskiego, mogłaby znaleźć pracę korzystną nie tylko wtedy, gdyby była posiadaczką ziemską, gdyby należała do rodziny takich posiadaczy, lub dzierżawców czasowych. Pismo nasze od czasu istnienia swego wykazywało niejednokrotnie, że uzdolniona tak kobieta klas wyższych mogłaby, na wzór rządcy dóbr, pracować w tym zawodzie jako rządczyni folwarku, gospodyni wyższa, pomagająca pani domu, a nawet mogłaby pracować niezależnie w tym kierunku, stając się dzierżawczy-

nią pewnych gałęzi gospodarstwa. Bywają pachciarze nabiału, zwykłe ludzie prości i nieumiejętni, czyżby z pewnym kapitałem nakładowym nie mogła stanąć na tem miejscu kobieta wykształcona i lepszej, rozumniej gospodarstwo mleczne prowadząca? W Szwajcaryi zwykle jeden zakład przemysłu mlecznego, na przykład fabryka serów, zadzierżawia w całej okolicy mleko, czyżby i u nas na zwyczajny mleka tego przerób nie można uczynić podobnie? To samo można zrobić z sadem i ogrodem, lub sadami i ogrodami pewnej okolicy, wynajmując nie tylko zbiór owoców, jak bywa teraz, ale wydzierżawiając sadownictwo i gospodarstwo ogrodowe w zupełności. Mogłoby tak być z różnemi częściami gospodarstwa kobiecego, prowadzonego na gruncie cudzym, jako przemysł rolniczy. O porządku dworek mieszkalny nie byłoby znów tak trudno i dziedzie, ciągnący korzyści, chętnieby wznosił takowy, a dla kobiety samotnej praca na wsi, gdzie ją wszyscy znają i życie jej widzą, jakgdyby mieszkała w owym domu szklanym, którego życzył sobie Rzymianin, ileżby przykrości usuwało, ile względów — trudnych do pogodzenia — godziło!

Czy tylko niestety, nie są to marzenia o dalekiej przyszłości, bo obecnie nie zdaje się zanosić na nie podobnego. Wykłady gospodarstwa kobiecego w zakładzie Dra Baranieckiego zostały zawieszono dla braku słuchaczek....

Jedną z gałęzi pracy, która w zupełności powinna być oddana kobiecie, jest fryzjerstwo, i pod tym względem zaznacza się szczęśliwy postęp. Czytelniczki nasze przypominają sobie może, że przed kilkoma laty córka znanego paryzkiego fryzjera założyła pracownię wyrobów fryzjerskich, obsługiwaną przez kobietę. Początkowe powodzenie zdawało się wróżyć pomyślną przyszłość, stało się bowiem pewną modą w kołach starej arystokracji francuskiej, aby, szczególnie młode panny, tylko przez kobiety być czesane. Obecnie jeden z pierwszych fryzjerów londyńskich, Douglas, urządził przy ulicy New Bond Street zakład fryzjerski dla kobiet, w którym cheszą jedynie fryzjerki. Opozycja ze strony fachowych współtowarzyszy postępowego fryzjera, była zrazu bardzo silna i nawet gwałtowna, publiczność przeciw poparła przedsięwzięcie, i wczasy ostatniego londyńskiego sezonu powodzenie nagrodziło nowatorowi doznane z tej strony przykrości.

W „Ladies Room“ przy fryzjerni na New Bond Street stało dwadzieścia młodych kobiet, wszystkie w jednakowym ubiorze czarnych sukien i białych fartuszków, a każda z nich uczesana w odmienny sposób, przedstawia jeden z wzorów do naśladowania, co dla wchodzącej tam kobiety stanowi niemałą dogodność. Głowa lalki jest zawsze tylko głową lalky, gdy między dwudziestu kobietami znaleźć się musi pewna analogia twarzy i postaci z osobą, żądającą posługi fryzjerskiej, i to podobno głównie wpłynęło na powodzenie nowego zakładu. Ladies Room przy New Bond Street stanowi długi, piękny salon, z którego jednej strony ciągnie się przez całą długość elegancka kolumnada z wytwornymi portierami, tworząca rodzaj przepierzenia z rzędem małych gabinetów, gdzie przybywająca pani może ze zupełną swobodą dopełnić żądanej toalety, nie przeszkadzając innym i nawzajem nie wystawiona na niczyj wzrok ciekawy. Sam salon, którego wewnątrz przedstawia świeżo ilustrowany Londyńska, ma środkiem stół pięknie ozdobiony kwiatami i założony dziennikami, przy których zasiadają czekające, a bywa ich zawsze liczba znaczna, bo powodzenie nowego zakładu jest ogromne.

Płaca każdej z fryzjerek jest 30 szlingów tygodniowo, przeciw żręczne robotnice zarabiają sposobem dodatkowym więcej nieraz, niż pensye stałą, gdyż od każdego funta sterlingów, zarobionego przez robotnicę, dostaje się takowej szyling jeden. Czas wymagalnej pracy jest godzin 9, z których odchodzi na obiad godzina, na herbatę pół. Czas, przeznaczony owe godzin dziewięć, jest osobno wynagradzany. Wrazie zasłabnięcia, pensya stała płacona jest wciąż robotnicy; połowę tej płacy daje właściciel fryzjerni, na drugą połowę składają się towarzyski chorej. Tak więc to straszne widmo ubożego a pracującego człowieka — choroba, traci tu połowę okropności swojej. Przecięciowo składka towarzyszek nie wynosi nigdy więcej nad 15 szlingów tygodniowo, co rozłożone nie dosięga nigdy

całego szylinga na osobę, nie może zatem być zbyt uciążliwą rzeczą. Szkoda tylko, że postępowy i jak widzimy bardzo uczciwie postępujący właściciel zakładu, nie przyjmuje małoletnich uczennic do nauki; potrzeba już do pewnego stopnia posiadać umiejętność czesania, tak czesać naprzykład jak dobra pan-służąca, aby zostać przyjętą. Czas nauki czystego już fryzjerstwa, jest oznaczony na miesiąc pięć. Bez świadectwa o przeszłości przyjętą być nie można.

Wielkie powodzenie fryzjerni Duglasa każe wróżyć, że przykład będzie licznie naśladowany w Londynie, a powinien być naśladowany wszędzie. Ta średnia klasa kobiet, do której należą szwaczki, hafciarki, modystki, jest bardzo nędznie wynagradzana, i każde rozszerzenie dróg pracy dla tego oddziału kobiet jest uczynkiem dobrym, uczynkiem wysoce moralnym.

Pod rubryką postępu pracy kobiecej można zamieścić ten szczegół, że mistress Lewis, pisząca pod przybranem nazwiskiem Jerzego Eliot, dostała za swą ostatnią a właśnie w piśmie naszym drukującą się powieść „Middlemarch“ 10,000 funtów sterlingów honorarium, co jest więcej niż 60,000 rs.

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Zjazdy naukowe. — Stowarzyszenie dla postępu nauk. — Mowa Wurtza o znaczeniu teorii atomów w pojęciach o wszechświecie. — Franciszek Bakon i jego stowarzyszenie ludzi nauki w Atlantydzie. — Nauka dzisiejsza. — Chemia za czasów Lavoisiera. — Tlen i Flogiston. — Związki ciał. — Dualizm. Zasady i kwasy.

Podczas kiedy w średnich wiekach uczeni rezultaty swych badań spisywali w księgach pergaminowych, kryjąc je często przed oczami profanów; podczas kiedy w późniejszych już czasach okrywali rezultaty swych badań tajemniczością, obawiając się prześladowania lub śmieszności, w wieku obecnym, przy współdziałaniu pras drukarskich, poruszanych parą, nowa myśl, nowe odkrycie, obiega prędko cały okrąg kuli ziemskiej, zachęcając do nowych badań, jedynając sławę i służąc jak najspieszniejszemu pożytkowi ludzkości. Co więcej, aby prace pojedynczych badaczy nie marniały bezowocnie, aby zespolić kierunek badań, mężowie nauki odbywają od czasu do czasu zjazdy naukowe, zgromadzają się by zasiać u wspólnego ruchomego niejako ogniska wiedzy, podzielić się rezultatami prac dokonanych i wytknąć kierunek nowym badaniom. Zjazdy takie zagajane zwykle bywają mowami, w których znakomici uczeni streszczają prace pewnego okresu lat, wykazując w całym blasku potęgę nowoczesnej nauki. Z tego względu zasługuje prawdziwie na poznanie mowa miana przez znakomitego francuskiego chemika Wurtza, na zgromadzeniu Towarzystwa francuskiego dla postępu nauk (Association française pour l'avancement des sciences), w której sławny ten uczone, streścił rezultaty badań chemicznych i związek istniejący pomiędzy chemią i niektórymi naukami ścisłymi. Mowa ta wypowiedziana została w Lille pod tytułem: „Znaczenie teorii atomów w pojęciach o wszechświecie“.

Znakomity chemik wykład swój rozpoczyna:

Franciszek Bakon powziął pierwszy myśl uorganizowania towarzystwa ludzi poświęconych badaniom naukowym. W nowej Atlantydzie, w której opisuje organizację tego nowego towarzystwa i wpływ jego na dzieje ludów mądrze rządzonych, Bakon przedstawia towarzystwo takie podniesione do instytucji państwowej. Postęp cywilizacji na drodze do prawdy, poznanie praw rządzących naturą, przez dostrzeganie i badanie zjawisk: oto cel, jaki wytknął sobie uczone angielski na początku XVII w. W wieku, w którym panował wszechwładnie syllogizm, w wieku ujarzmionym jeszcze przez scholastykę, kanclerz angielski wyznaczał nauce właściwe sposoby badania i przynależne jej miejsce w świecie.

Myśl Bakona obejmowała wszystkie gałęzie wie-

dzy ludzkiej. W tym idealnym planie przebiega ziemie tłum badaczy, z pomiędzy których jedni studują pomniki przeszłości, język, obyczaje, historię ludów; drudzy obserwują kształty powierzchni gruntu, badają jego bogactwa, opisują budowę skorupy ziemskiej i zaznaczają ślady przewrotów, jakim ona ulegała, zbierając wszystkie dane dla wykrycia przewodniej myśli w ukształtowaniu zwierząt i roślin, oraz rozdzieleniu ich po powierzchni ziemi. Nauki ściśle uprawiane są przez uczonych, osiadłych stale w różnych miejscach. Wysokie wieże pobudowane są do obserwacji gwiazd i meteorów. Obszerne gmachy przeznaczone dla studyów fizycznych i mechanicznych zawierają modele maszyn zastępujących niedostateczne nasze siły, jakoteż instrumenta uzupełniające niedokładności naszych zmysłów. Te prace zostają pod kontrolą, która wprowadza do nich jedność, porządek i systematyczność.

Czy to wielkie eksploataowanie ziemi — zapytuje Wurtz — te badania ściśle praw rządzących światem, ten wpływ nauki na sprawy życiowe, mogły się stać dziełem jego wieku? Zaiste, nie! To też Bakon znając społeczeństwo, które go otaczało, umieścił kraj szczęśliwy, korzystający z dobrodziejstw tej szlachetnej naukowej instytucji, wśród oceanu. Przed trzema wiekami pomysł Bakona mogły znaleźć miejsce tylko w krainie utopii; dziś stały się one rzeczywistością. Ten wspaniały program, jaki Bakon niegdyś kreślił, wszedł dziś w wykonanie. Program ten jest wykonywany przez wszystkich, którzy w czasach nowożytnych oddają się poszukiwaniu prawdy, przez wszystkich pracowników nauki, gdziekolwiek bądź zamieszkałych, wielkich lub małych, mniej lub więcej wykształconych, tworzących rzeczywiście bez różnicy narodowości na wszystkich punktach powierzchni ziemskiej, szeroko rozgałęzione stowarzyszenie, o jakim marzył Bakon. Nauka jest dziś polem neutralnem, jest wspólnem dobrem, wyższem nad arenę polityczną; nauka stoi wyżej niż walki partii i ludów — mówi Wurtz — jest dobrem i spuścizną ludzkości.

Spółczeństwo dzisiejsze ma przed sobą wspaniałe widowisko. Od stu lat umysł ludzki dokonywał wielkich wytyżeń dla odkrycia praw świata i zbadania zjawisk natury. Owocem tych wysiłków jest potężny rozwój wszystkich nauk opartych na spostrzeżeniach i doświadczeniach. Nowe pojęcia, jakie za dni naszych wykwitły o wspólności i zachowaniu sił nieginących w przyrodzie, stały się jakoby odkryciem nowych praw w niektórych naukach. Mechanika, fizyka, chemia, a nawet fizjologia, znalazły wspólny punkt oparcia i zarazem węzeł łączący je w jedną całość. Ten polot nowych idei, wspomagany jest przez postęp metod, polegających na większej ścisłości spostrzeżeń, udoskonaleniu doświadczeń i ogledności w wyprowadzaniu wniosków. Oto sprężyna ruchu, który w naszych oczach posuwa naprzód naukę.

Po takim wstępie przechodzi Wurtz do obranego przez się przedmiotu.

Chemia w dzisiejszej naukowej postaci istnieje od czasów Lavoisiera. Jego prace nad paleniem się ciał, dały tej nauce niewzruszoną podstawę, utrwalając pojęcie pierwiastku, to jest ciała prostego i określając zarazem charakter związku chemicznego. Wielki chemik pierwszy wykazał, że ciała proste łącząc się w związek chemiczny, nie tracą nic ze swej wagi. Przed nim, na podstawie teorii flogistonicznej Stahla mniemano, że każde ciało mogące się palić, składa się z części nie palnej, pozostającej po spaleniu w postaci popiołu i flogistonu. Tak np. drzewo miało się składać z popiołu i z flogistonu; flogiston przy paleniu uchodził pozostawiając popiół. Lavoisier za pomocą ścisłych doświadczeń wykazał z wagą w ręku, że każde ciało po spaleniu zyskuje na wadze; że jeśli zważymy np. węgiel, a następnie po spaleniu zważymy pozostały z niego

popiół i utworzony jako produkt spalania kwas węglowy; to summa wag tych dwóch ciał razem, wynosi więcej niż waga węgla a to dlatego, że węgiel przy spaleniu połączył się z tlenem znajdującym się w powietrzu (*). Wprawdzie wielki francuzki chemik utrzymuje, że ciało paląc się, traci ciepło, jakie się w nich zawierało i ciepło to uważa za materię nieważką, wedle ówczesnych wyobrażeń, nie należy wszelako tego pojęcia mieszać z pojęciami szkoły flogistonistów. Dzisiejsza bowiem nauka wprawdzie inaczej zapatruje się na to zjawisko, przyznaje jednak, że ciała paląc się, i łącząc z innym ciałem podtrzymującym palenie, np. z tlenem, traci możność wydania na nowo ciepła, skoro już wejdzie w związek chemiczny. Tak więc Lavoisier zapatrywał się racjonalnie na zjawisko, podczas kiedy Stahl, twórca teorii flogistonicznej, chwycił tylko zewnętrzną jego stronę. Lavoisier poglądem swym wzniosł podstawę chemii nowoczesnej. Wspaniały gmach tej nauki, nie mógł być jeszcze wykonany w zeszłym stuleciu, brakowało doń materiałów i od tego czasu nie jednej zmianie uległa cała budowa; mimo wszelkie zmiany wszystkich, główne podstawy pozostały też same. Lavoisier zbadał ciała znane w jego czasach, a przeważnie związki tlenowe, których istotną naturę odsłonił mu jego prace nad kombustją (paleniem się) ciał. Wszystkie związki tlenowe składają się z dwóch ciał połączonych w różnych stosunkach. Ciała te są albo kwasami, albo zasadami i stanowią tak zwane związki pojedyncze. Jeśli dwa związki pojedyncze, a mianowicie kwas i zasada łączą się z sobą, wtedy tworzą związki złożone drugiego stopnia, to jest sole. Taka była podstawa teorii Lavoisiera, podług której zawsze dwa ciała tworzyły związek; teoria ta z tego powodu została nazwana dualistyczną.

Hipoteza dualistyczna upowszechniła się przez oznaczenie wszystkich związków podług nomenklatury Guyton de Morveau, w której każdy związek oznaczony jest jako połączenie się dwóch ciał, tak np. wapno niegaszone oznacza się naukową nazwą tlenku wapnia; kwas węglowy — gaz znany wszystkim, którzy piją wodę sodową, wina musujące i t. p. mianem dwutlenku węgla. Związek podwójny powstający z połączenia kwasu węglowego z tlenkiem wapna, zwie się węglanem wapna. Z takiego węglanu wapna skład się marmur i kreda.

Berzeliusz wielki chemik szwedzki, rozciągnął pojęcia dualistyczne Lavoisiera na wszystkie sole, co więcej usiłował nadać trwałe podstawy tej teorii, łącząc ją ze swą hipotezą elektrochemiczną. Podług tej hipotezy każdy związek składa się z dwóch ciał, z których każde obdarzone jest inną elektrycznością. Ponieważ zaś płyn elektro dodatni, przyciąga ujemny, w związku przeto chemicznym, dwa pierwiastki obdarzone odmiennymi elektrycznościami, przyciągają się wzajemnie. Teoria elektrochemiczna Berzeliusza dawała wyjaśnienie dualizmu, jak również powinowactwa chemicznego. Przyciąganie się cząsteczek ciał różnorodnych, wywołujących związki i rozkłady chemiczne, zostały zredukowane do przyciągania się dwóch różnoimennych elektryczności.

(*) Flogistonici tłumaczyli powiększenie się ciężaru ciała spalonego dowolną hipotezą o ujemnej ciężkości flogistonu, który sam także był tylko wymysłem oderwanym, czemu pojęciem dla ustalenia równowagi w rozumowaniu przyjętem.
(P. R.)

(Dalszy ciąg nastąpi).

Nakładem Księgarni i Składu Nut muzycznych
Michała Glücksberga

w Warszawie przy ulicy Krakowskie Przedmieście, w domu
J. W. Hr. L. Krasieńskiego Nr. 7 (411).

U STÓP KRZYŻA Ś-GO

Książka do Nabożeństwa dla Chrześcijan Katolików

WYDANIE TRZECIE POPRAWNE

Cena egzemplarza bez oprawy Rs. 1 k. kop. 20. Egzemplarze są osobne dla kobiet i mężczyzn. W oprawie cena stosownie do oprawy Rs. 1 k. 80, Rs. 1 kop. 25; Rs. 3, 1, 5, 6 i wyżej.

Rozejście się w ciągu paru lat 2-ch edycji najlepiej przemawia za wartością tej książki. Kon-systorz Warszawski tak się o tej książce wyraził: Książka p. t. „U stóp Krzyża Ś-Go“ zawierająca modły po części z ojców ŚŚ. czerpane, skreślona w duchu wiary, pokory i skruchy jako znamionach szczerzej modlitwy, może być na widok publiczny wydana.

Wydanie obecne odznacza się pięknnością papieru, czystością druku, do każdego egzemplarza dodany jest staloryt i ozdobnie chromolitografowany tytuł.

Książka ta jest do nabycia we wszystkich księ-garniach w Warszawie i na prowincyi.

Nakładem J. Korzeniowskiego drukarza w Warsza-wie wyszło świeżo dzieło pod tytułem:

PRACA KOBIET XIX WIEKU

przez

Pawła Leroy Beanken

PRZEŁOŻONE Z FRANCUSKIEGO PRZEZ A. S.

Dzieło to uwieńczonem zostało przez Fran. Akad. nauk moral. i polit.

Cena egzemplarza kopiejek 90, z przesyłką pocztą Rs.

Skład Główny w Warszawie: w księgarni i składzie Nut muzycznych Michała Glücksberga przy ulicy Krakowskie Przedmieście, w domu JW. Hr. L. Krasieńskiego Nr. 7 (411). Dzieło to znajduje się również we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Sprostowanie.

W numerze 45 „Bluszczu“ na str. 358 w artykule *Przegląd wystawy*, wiersz 1-szy od góry zamiast *malarz* czytaj *natura*.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dalszy ciąg powieści *Middlemarch*.

TREŚĆ: Wykształcenie kobiety we Włoszech, (dokończenie). — Za moich młodych lat (poezya) przez El-y. — *Niewiasta polska*, (dalszy ciąg), przez K. Wł. Wójcickiego. — *Historia o Janaszu Korczaku i o pięknej miecznikównie*, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — *Rodzina jako stowarzyszenie się do szczęścia*. — *Przegląd teatralny*, przez Edwarda Lubowskiego. — *Kronika naukowego, artystycznego i przemysłowego ruchu kobiet*. — *Z działu przyrody*.